

Fragment 1 („Zdążyć przed Panem Bogiem”)

O bohaterstwie

Należy mówić z nienawiścią, patosem, krzycząc - nie ma innych sposobów wyrażenia tego wszystkiego niż krzyk.

Więc on się od razu nie nadawał do mówienia, bo nie umiał krzyczeć. Nie nadawał się też na bohatera, bo nie było w nim patosu.

Cóż to za prawdziwy pech.

Ten jedyny, który przeżył, nie nadaje się na bohatera.

Zrozumiawszy to, taktownie zamilkł. Milczał dość długo, bo przez trzydzieści lat, a jak przemówił wreszcie, to zaraz stało się jasne, że byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby nie przerywał milczenia. [...]

Głód

Czarni i brzydzy leżą osłabli z głodu w wilgotnej pościeli i czekają, aż ktoś przyniesie im owies na wodzie albo coś ze śmietnika. Wszystko jest tam szare - twarze, włosy, pościel. Oszczędnie palą karbidówkę. Ich dzieci wyrwyją na ulicy przechodniom paczki z rąk w nadziei, że tam jest chleb, i natychmiast wszystko pożerają. W szpitalu dają spuchniętym z głodu dzieciom po pół jajka w proszku i po pastylce cebionu dziennie - to już dzieli lekarze, bo nie można narażać salowej, która też jest spuchnięta, na mękę dzielenia. (Tylko białe personel szpitalny ma przydział żywności: po pół litra zupy i sześć deka chleba na osobę. Na specjalnym zebraniu postanowiono zrezygnować z dwustu gramów zupy i dwóch deka chleba i podzielić to wśród palaczy i salowych. W ten sposób wszyscy mieli jednakowo: po trzysta gramów zupy i cztery deka chleba na osobę.) Na Krochmalnej 18 trzydziestoletnia kobieta, Rywka Urman, odgryzła kawałek swojego dziecka, Berka Urmana, lat dwanaście, zmarłego z głodu poprzedniego dnia. Ludzie otaczali ją na podwórku w ciszy, w całkowitym milczeniu. Miała szare, potargane włosy, szarą twarz i obłąkane oczy. Potem przyjechała policja i spisała protokół. Na Krochmalnej 14 znaleziono na ulicy zwłoki dziecka w stanie rozkładu, podrzucone przez matkę, Chudę Borensztajn, numer mieszkania 67, dziecku było na imię Moszek. (Wózek pogrzebowy Towarzystwa „Wieczność” zabrał zwłoki, a Borensztajn Chudę zeznała, że podrzuciła je na ulicy, bo gmina nie chce chować bez pieniędzy, zresztą ona też niedługo umrze.) Ludzi prowadzi się do łaźni na odswenie. Przed łaźnią na Spokojnej ludzie czekali na ulicy dzień i noc, a kiedy rano przywieziono zupę tylko dla dzieci, trzeba było sprowadzić policję, żeby odgoniła tłum, który wyrwał tym dzieciom jedzenie.

Śmierć z głodu była równie nieestetyczna jak życie.

„Niektórzy zasypiają na ulicy z kęsem chleba w ustach lub w czasie próby wysiłku fizycznego, na przykład w czasie biegu za zdobyciem chleba”.

To jest fragment pracy naukowej.

Lekarze w getcie prowadzili badania nad głodem, bowiem mechanizm śmierci głodowej był wtedy dla medycyny niejasny i należało wykorzystać nadarzającą się szansę. Szansa była wyjątkowa: „Jeszcze nigdy - pisali - medycyna nie dysponowała tak obfitym materiałem badawczym”.

Jest to dla lekarza interesujący problem i dziś.

- Na przykład - mówi doktor Edelman - problem naruszenia w organizmie równowagi między wodą i białkiem. Czy oni tam piszą coś o elektrolitach? - pyta. - Wraz z wodą uchodzi do tkanki łącznej potas i sól. Sprawdź, czy wpadali na trop roli białka.

Nie, o elektrolitach nie piszą nic. Stwierdzają z rozczarowaniem, że nie udało im się wyjaśnić tak ciekawego dla lekarza mechanizmu powstawania obrzęków w chorobie głodowej.

Może wpadliby na trop roli białka, gdyby nie musieli przerwać nagle pracy, ale przerywali ją, niestety, z czego usprawiedliwiają się we wstępie. Nie mogli kontynuować badań, „gdyż uległ zniszczeniu surowiec naukowy - materiał ludzki”. Zaczęła się likwidacja getta.

Zaraz po zniszczeniu surowca zginęli zresztą i badacze.

Żyje tylko jeden z nich: dr Teodozja Goliborska. Badała przemianę spoczynkową materii u ludzi głodnych.

Pisze mi z Australii, że wiedziała wprawdzie z literatury, iż przemiana spoczynkowa w głodzie jest obniżona, ale nie myślała, że aż tak bardzo, i wiąże to z mniejszą liczbą oddechów oraz zmniejszoną ich głębokością, więc z niewielką ilością tlenu związanego w stanie głodu przez ustrój.

(Pytam dr Goliborską, czy przydały się jej później, jako lekarzowi, te badania. Pisze, że nie, bo wszyscy ludzie, których leczyła w Australii, byli syści, a nawet przekarmieni.)

A oto i niektóre rezultaty badań przedstawione w pracy „Choroba głodowa. Badania kliniczne nad głodem wykonane w getcie warszawskim w 1942 roku”.

Rozróżniamy trzy stopnie wychudzenia: I stopień, w którym ma miejsce utrata nadmiaru tłuszczu. Wygląda się wtedy młodziej niż zwykle. „Spotykaliśmy się z tym objawem często w okresie przedwojennym po powrocie pacjentów z Karlsbadu, Vichy itd.” Do II stopnia wychudzenia należą prawie wszystkie spostrzegane przez nas

przypadki. Wyjątek stanowią przypadki III stopnia w postaci cherlactwa głodowego, będącego najczęściej stanem przedśmiertnym.

Przejdźmy do opisu zmian w poszczególnych układach i narządach.

Waga wynosiła przeciętnie od 30 do 40 kg i była niższa o 20-25 proc. od wagi przedwojennej. Najniższa waga wynosiła 24 kg u kobiety trzydziestoletniej.

Skóra jest biała, nieraz bladolina.

Paznokcie, szczególnie u rąk, są szponowate...

(Może nazbyt szczegółowo mówimy o tym i za długo, ale to dlatego, że koniecznie trzeba zrozumieć, jaka jest różnica między pięknym życiem a życiem nieestetycznym i między piękną a nieestetyczną śmiercią. To jest ważne. Wszystko, co nastąpiło później - co nastąpiło dziewiętnastego kwietnia 1943 roku - było przecież tęsknotą za pięknym umieraniem.)

Obrzęki stwierdza się najpierw na twarzy w okolicy powiek, na stopach, wreszcie u niektórych równomierny obrzęk całych powłok skórnych. Po nakłuciu łatwo wydobywa się z tkanki podskórnej płyn. Wczesną jesienią stwierdza się skłonność do odmrażania palców dłoni i stóp.

Twarz jest bez wyrazu, maskowata.

Stwierdza się bardzo obfity meszek na całym ciele, zwłaszcza u kobiet, na twarzy w kształcie wąsów i bokobrodów, czasami owłosienie powiek. Poza tym stwierdza się długie rzęsy...

Stan psychiczny charakteryzuje się ubóstwem myśli.

Z czynnych, energicznych, ludzie zmieniają się w apatycznych i ospałych. Są prawie zawsze senni. O głodzie nie pamiętają, nie zdają sobie sprawy z jego istnienia, jednakże na widok chleba, słodyczy lub mięsa stają się nagle agresywni, pożerają go łapczywie, mimo że narażają się na bicie, od którego nie umieją się bronić ucieczką.

Przejście od życia do śmierci jest powolne, prawie niedostrzegalne. Śmierć jest podobna do śmierci fizjologicznej ze starości. [...]

Numerki

- Było czterdzieści tysięcy numerków - takie białe kartki z pieczęcią. Niemcy dali je Gminie i powiedzieli: „Rozdzielcie sami. Ten, kto będzie miał numerkę, zostanie w getcie. Wszyscy inni pójdą na Umschlagplatz”.

Było to dwa dni przed końcem akcji likwidacyjnej, we wrześniu. Lekarz naczelny naszego szpitala, Hellerowa, otrzymała kilkanaście numerków i powiedziała: „Ja nie będę dzielić”.

Mógł rozdać te numerki którykolwiek z lekarzy, ale wszyscy uważali, że ona da je tym, komu się należą najbardziej.

Posłuchaj: „Komu się należą”. Czy jest taka miara, według której można rozstrzygnąć, kto ma prawo żyć? Nie ma takiej miary. Ale do Hellerowej chodziły delegacje z prośbą, żeby się zgodziła, więc zaczęła dzielić numerki.

Dała numerkę Frani. A Frania miała jeszcze siostrę i mamę. Koło Zamenhofs ustawiono wszystkich, którzy mieli numerki, a wokół kłębił się tłum ludzi, którzy ich nie mieli. I stała wśród nich mama Frani. I ta mama nie chciała od niej odejść, a Frania musiała już wejść do szeregu, więc mówiła: „Mamo, no idź już” - i odsuwała ją ręką. - „No idź już...”

Owszem, Frania przeżyła.

Uratowała później kilkanaście osób, jednego chłopaka wyniosła z powstania warszawskiego, w ogóle zachowywała się nadzwyczajnie.

Dostała taki numerkę przełożona pielęgniarek, Tenenbaumowa. Była przyjaciółką Berensona, tego sławnego adwokata, obrońcy w procesie brzeskim. Miała córkę, której dyrektorka nie dała numerka. Tenenbaumowa dała córce swój numerkę, powiedziała: - „Potrzymaj chwilę, ja zaraz wrócę...” - poszła na górę i poknęła fiolkę luminalu.

Znaleźliśmy ją na drugi dzień, jeszcze żyłą.

Czy sądzisz, że powinniśmy ją byli ratować?

- Co się stało z jej córką, która teraz już miała numerkę?

- Ale powiedź mi - czy powinniśmy ją byli ratować?

- Wiesz, Tosia Goliborska mówiła mi, że jej matka też poknęła truciznę - „a ten kretyn, mój szwagier - opowiadała Tosia - uratował ją. Czy wyobraża sobie pani takiego kretyna? Uratować - po to, żeby po paru dniach zawleki ją na Umschlagplatz...”

- Jak zaczęła się akcja likwidacyjna i z parteru naszego szpitala już wygarniali ludzi, na górę jedna kobieta rodziła dziecko. Lekarz stał nad nią i pielęgniarka. Kiedy dziecko się urodziło, lekarz podał je pielęgniarcie. Ułożyła je w poduszce, przykryła drugą poduszką. Dziecko pokwiliło chwilę i ucięło.

Ta dziewczyna miała dziewiętnaście lat. Lekarz nie powiedział jej nic, ani słowa - i ta dziewczyna sama wiedziała już, co ma zrobić.

Dobrze, że dzisiaj nie pytasz: "A czy dziewczyna żyje?" - jak pytałaś o lekarkę, która podala dzieciom cyjanek.

Owszem, żyje. Jest bardzo wybitnym pediatrą.

- Więc co się stało z córką Tenenbaumowej?

- Nic. Też zginęła. Ale miała przedtem parę dobrych miesięcy: kochała się z jednym chłopakiem, przy nim była zawsze pogodna, uśmiechnięta. Miała kilka naprawdę dobrych miesięcy. [...]

Powstanie w getcie warszawskim

...powstańców jest 220, Niemców - 2090.

Niemcy mają lotnictwo, artylerię, pojazdy pancerne, miotacze min, 82 karabiny maszynowe, 135 pistoletów maszynowych i 1358 karabinów, na jednego powstańca (według relacji zastępcy, Komendanta powstania) przypada 1 rewolwer, 5 granatów i 5 butelek zapalających. Na każdy teren 3 karabiny. W całym getcie są dwie miny i jeden automatyczny pistolet.

Niemcy wkraczają 19 kwietnia o czwartej. Pierwsze walki: plac Muranowski, Zamenhofa, Gęsia. O drugiej po południu Niemcy się wycofują, nie wyprowadziwszy na Umschlagplatz ani jednego człowieka. ("Myśmy wtedy jeszcze uważali to za bardzo ważne, że tego dnia nikogo nie wywieźli. Uważaliśmy to nawet za zwycięstwo".)

20 kwietnia: do południa Niemców nie ma (przez całe dwadzieścia cztery godziny nie ma w getcie ani jednego Niemca!), wracają o drugiej. Podchodzą pod teren fabryki szczotek. Próbuja otworzyć bramę. Wybuchają miny, wycofują się. (To jest jedna z tych dwóch min, które są w getcie. Druga, na Nowolipiu, nie wybuchła.) Wdzierają się na strych. Michał Klepfisz zasłania sobą niemiecki automat, grupa się przebija - radiostacja "Świt" nadaje potem wiadomość, że Michał padł na polu chwały, i odczytują rozkaz Sikorskiego o odznaczeniu go Krzyżem Virtuti Militari, V klasy.

Teraz jest scena z trzema oficerami SS. Z białymi kokardami i opuszczonym automatem proponują zawieszenie broni i wycofanie rannych. Powstańcy strzelają do oficerów, ale nie trafiają żadnego.

W książce amerykańskiego pisarza, Johna Herseya, "The Wall", jest ta scena opisana bardzo dokładnie.

Felix, jeden z wyimaginowanych bohaterów, opowiadał o niej z zakłopotaniem. Drzemie w nim jeszcze - pisze autor - tak typowa dla zachodnioeuropejskiej tradycji tęsknota za regułami gry wojennej i przestrzeganiem zasad "fair play" w śmiertelnej walce...

Strzelił do esesmanów Zygmunt. Mieli tylko jeden karabin, a Zygmunt strzelał najlepiej, bo zdążył przed wojną odsłużyć wojsko. Edelman, widząc zbliżających się oficerów z białymi kokardami, powiedział: "Strzelaj" - i Zygmunt strzelił.

Edelman jest jedynym żyjącym człowiekiem spośród tych, którzy uczestniczyli w owej scenie - w każdym razie, którzy uczestniczyli po stronie powstańców. Pytam, czy odczuwał zakłopotanie, naruszając tak typowe dla zachodnioeuropejskiej tradycji reguły wojennego "fair play".

Mówi, że nie odczuwał zakłopotania, ponieważ trzej Niemcy, to byli dokładnie ci sami, co wywieźli już do Treblinki czterysta tysięcy ludzi, tyle tylko, że przyczepili sobie białe kokardy...

(Stroop wspominał w swoim raporcie o tych parlamentarzystach i o "bandytach", którzy do nich otworzyli ogień.

Wkrótce po wojnie zobaczył Stroopa¹.

Prokuratura i Komisja do Badania Zbrodni prosiły go, żeby w konfrontacji ze Stroopem ustalić jakieś szczegóły: czy tu był mur, czy tam była brama, takie detale topograficzne.

Siedzieli za stołem - prokurator, przedstawiciel Komisji i on - i do pokoju wprowadzono wysokiego mężczyznę, starannie ogolonego, w wyczyszczonych butach. Stanął przed nimi na baczność - ja też wstałem. Prokurator powiedział Stroopowi, kim jestem, Stroop wyprężył się, stuknął obcasami i zwrócił głowę w moją stronę. To się w wojsku nazywa "oddawać honory wojskowe" czy coś w tym rodzaju. Zapytano mnie, czy widziałem, jak zabijał ludzi. Powiedziałem, że nigdy na oczy nie widziałem tego człowieka, oglądam go po raz pierwszy. Potem pytano mnie, czy możliwe, że w tym miejscu była brama, a stamtąd szły czołgi, bo Stroop tak zeznaje, i to im się z czymś nie zgadza. Powiedziałem: "Możliwe, że w tym miejscu była brama, a stamtąd szły czołgi". Było mi przykro. Ten człowiek stał przede mną na baczność, bez pasa, i miał już jeden wyrok śmierci. Jakie to miało znaczenie, gdzie był mur, a gdzie brama, chciałem jak najszybciej wyjść z tego pokoju.][...]

Stary Żyd

- Widziałam kiedyś na Żelaznej zbiegowisko. Ludzie tłoczyli się na ulicy dookoła beczki - zwyczajnej drewnianej beczki, na której stał Żyd. Był stary, niski i miał długą brodę.

Przy nim stało dwóch niemieckich oficerów. (Dwóch pięknych, rosnących mężczyzn przy małym, zgarbionym Żydzie.) I ci Niemcy wielkimi krawieckimi nożycami obcinali Żydowi po kawaleczku jego długą brodę, zaśmiewając się do rozpuku.

Tłum, który ich otaczał, też się śmiał. Bo obiektywnie było to naprawdę śmieszne: mały człowieczek na drewnianej beczce z coraz krótszą brodą, ginącą pod krawieckimi nożycami. Jak gag filmowy.

Nie było jeszcze getta, więc w tej scenie nie czuło się grozy. Z Żydem przecież nie strasznego się nie działo: tyle że można go było bezkarnie na tej beczce postawić, że ludzie zaczynali już rozumieć, że to jest bezkarnie i że budził śmiech.

Wiesz co?

Wtedy rozumiałem, że najważniejsze ze wszystkiego jest nie dać się wepchnąć na beczkę. Nigdy, przez nikogo. Rozumiesz?

Wszystko, co robiłem potem - robiłem dlatego, żeby nie dać się wepchnąć.

- To był początek wojny i jeszcze mogłeś wyjechać. Twój koleś uciekał wtedy przez zieloną granicę tam, gdzie nie było beczek...

- To byli inni ludzie. To byli wspaniali chłopcy z kulturalnych domów. Świetnie się uczyli, mieli telefony w mieszkaniach i wisiały tam piękne obrazy. Oryginały, nie reprodukcje żadne. Ja byłem przy nich niczym. Nie należałem do towarzystwa. Uczyłem się gorzej, śpiewałem brzydziej, nie umiałem jeździć na rowerze i nie miałem domu, bo moja matka umarła, jak miałem czternaście lat. ("Colitis ulcerosa", wrzodzące zapalenie jelit. Pierwszy pacjent, jakiego leczyłem w życiu, chorował dokładnie na to samo. Ale wtedy już był encorton i penicylina i wyszedł z tego w parę tygodni.)

O czym mówiliśmy?

- Że koleś wyjechał.

- Widzisz - przed wojną mówiłem Żydom, że ich miejsce jest tutaj, w Polsce. Że tu będzie socjalizm i tu powinni pozostać. Więc kiedy zostali i zaczęła się wojna, i zaczęło się dziać to, co działo się w tej wojnie z Żydami - czy miałem stąd wyjechać?

Po wojnie ci koleś okazali się jakimiś dyrektorami japońskich koncernów albo fizykami amerykańskich agencji jądrowych, albo profesorami uniwersytetów. To byli bardzo zdolni ludzie, mówiłem ci.

- Ale wtedy i ty już się podciągnąłeś. Już byłeś na papierach bohatera. Mogli cię przyjąć do swojego świetnego towarzystwa.

- Proponowali, żebym przyjechał. Ale ja odprowadziłem na Umschlagplatz czterysta tysięcy osób. Ja sam, osobiście. Wszyscy przechodzili koło mnie, kiedy tam stałem przy bramie...

¹ Jürgen Stroop - niemiecki nazista, zbrodniarz hitlerowski, odpowiedzialny m.in. za krwawe stłumienie powstania w getcie warszawskim.

Fragment 2 („Zdażyć przed Panem Bogiem”)

Edelman

- Dlaczego zostałeś lekarzem?

- Bo musiałem nadal robić to, co wtedy robiłem. Co robiłem w getcie. W getcie za czterdzieści tysięcy ludzi - tyłu było w kwietniu 1943 roku - podjęliśmy decyzję. Postanowiliśmy, że nie pójdą dobrowolnie na śmierć. Jako lekarz mogłem odpowiadać za życie przynajmniej jednego człowieka - więc zostałem lekarzem.

Chciałabys, żebym tak odpowiedział, prawda? To by zabrzmiało dobrze? Ale wcale tak nie było. Było tak, że skończyła się wojna. Wojna - dla wszystkich wygrana. Ale dla mnie to była przegrana wojna i wciąż mi się zdawało, że jeszcze coś muszę zrobić, gdzieś iść, że ktoś na mnie czeka i trzeba go ratować. Gnało mnie z miasta do miasta i z kraju do kraju, ale jak przyjeżdżałem, to okazywało się, że nikt nie czeka i nie ma już komu pomóc i w ogóle nie ma nic do zrobienia, więc wróciłem (mówili mi: „I ty chcesz patrzeć na te mury, na bruki, na puste ulice?”), a ja wiedziałem, że muszę tutaj być, żeby na to patrzeć), wróciłem więc, położyłem się na łóżku i tak zostałem. Spałem. Przesypiałem dnie i tygodnie. Od czasu do czasu budzili mnie i mówili, że przecież coś muszę z sobą zrobić - przyszła mi na myśl ekonomia, już nie pamiętam dlaczego, wreszcie Ala zapisała mnie na medycynę. Więc poszedłem uczyć się medycyny.

Ala była już wtedy moją żoną. Poznałem ją, kiedy przyszła z patrolem zorganizowanym przez doktora Świtala z AK, żeby nas wyprowadzić z bunkra na Żoliborzu. Zostaliśmy tam, na Promyka, po powstaniu warszawskim, m.in. Antek, Celina, Tosia Goliborska, ja - i w listopadzie przysłano po nas ten patrol. (Ulica Promyka jest tuż nad Wisłą, była to jeszcze linia frontu, wszystko zaminowane, więc Ala zdjęła pantofle i przeszła przez pole minowe boso, bo myślała, że jak pójdzie po minach boso, to nie wybuchną.)

Ala zapisała mnie na medycynę, więc zacząłem tam chodzić, ale mnie to nic a nic nie interesowało, i kiedy wracaliśmy do domu to znowu kładłem się na łóżku. Wszyscy się pilnie uczyli, a ponieważ ja leżałem twarzą do ściany - zaczęli mi rysować na tej ścianie różne rzeczy, żebym chociaż coś zapamiętał. To żołądek mi rysowali, to znów serce, bardzo starannie zresztą, z komorami, przedsionkami, aortą...

Trwało to ze dwa lata - przez ten czas sadzano mnie od czasu do czasu w jakimś prezydium...

- Już byłeś na statusie bohatera?

- Coś w tym rodzaju. Albo mówili: „Niech pan opowie, niech pan opowie, jak to było”. Ale ja byłem raczej powściągliwy i w tych prezydiumach wypadałem słabo.

Czy wiesz, co najlepiej z tego okresu pamiętam?

Śmierć Mikołaja. Tego, który był członkiem „Żegoty” (Rady Pomocy Żydom) jako przedstawiciel naszego podziemia.

Mikołaj chorował i umarł.

Umarł, rozumiesz? Zwyczajnie, w szpitalu, na łóżku! Pierwszy ze znanych mi ludzi umarł, a nie został zabity. Dzień wcześniej odwiedziłem go w szpitalu, a on powiedział: „Panie Marku, gdyby coś się ze mną miało stać, to tu, pod poduszką, mam zeszyt i wszystko wyliczone, co do grosza. Mogą kiedyś jeszcze o to zapytać, więc niech pan pamięta, że saldo się zgadza, a nawet została reszta”.

Czy wiesz, co to było?

To był taki gruby zeszyt w czarnej okładce, w której on przez całą wojnę zapisywał, na co wydajemy dolary. Te, które ze zrzutów dostawaliśmy na broń. Jeszcze kilkadziesiąt zostało i też były w tym zeszycie.

- Czy wręczyłeś resztę i zeszyt tym przywódcom związkowym w Ameryce, którzy cię, wzruszeni, gościli w sześćdziesiątym trzecim roku?

- Wiesz - że w ogóle nie zabrałem go ze szpitala. Opowiedziałem o nim Antkowi i Celinie i - pamiętam - strasznie żęmy się z tej historii śmiali. Z zeszytu, i że Mikołaj tak jakoś dziwnie umiera, leżąc w czystej pościeli na łóżku. Dosłownie pękaliśmy ze śmiechu, aż Celina musiała nam przypomnieć, że przecież to nie wypada.

- Czy przestali ci w końcu rysować te serca na ścianie?

- Tak.

Któregoś dnia wpadłem na jakiś wykład - pewnie żeby tylko indeks podpisać - i usłyszałem, że profesor mówi: „Kiedy lekarz wie, jak wygląda oko chorego, jak wygląda skóra, jak język, to powinien wiedzieć, co temu choremu jest”. Spodobało mi się to. Pomyślałem, że choroba człowieka jest jakby rozsypaną łamigłówką, i jak się ją dobrze złoży, to się wie, co jest w człowieku, w środku.

Od tej pory zacząłem się medycyną, a dalej już może być to, od czego chciałaś zacząć, a co zrozumiałem znacznie, znacznie później: że jako lekarz mogę nadal odpowiadać za życie ludzkie.

- Dlaczego właściwie musisz odpowiadać za życie ludzkie?

- Pewnie dlatego, że wszystko inne wydaje mi się mniej ważne.

- Może chodzi o to, że miałeś wtedy dwadzieścia lat? Jak się przeżywa najważniejsze chwile życia w wieku lat dwudziestu, to później dość trudno o równie sensowne zajęcia...

- Wiesz, w klinice, w której potem pracowałem, była taka wielka palma. Stawiałem czasem pod nią - i widziałem sale, na których leżeli moi pacjenci. To były dawne czasy, kiedy nie mieliśmy dzisiejszych lekarstw ani zabiegów, ani aparatów, i większość ludzi w tych moich salach skazana była na śmierć. Moje zadanie polegało na tym, żeby możliwie najwięcej spośród nich ocalić - i uprzytomniłem sobie kiedyś pod tą palmą, że właściwie to jest to samo zadanie, co tam. Na Umschlagplatz². Wtedy też stałem przy bramie i wyciągałem jednostki z tłumu skazanych.

- I tak stoisz przy tej bramie przez całe życie?

- Właściwie tak. A kiedy nic już nie mogę zrobić - to pozostaje mi jedno: zapewnić im komfortową śmierć. Żeby nie wiedzieli, nie cierpieli, nie bali się. Żeby się nie poniżali.

- Mówiono mi, że kiedy leczysz przypadki banalne i niegroźne - robisz to niejako z obowiązku, ożywasz się prawdziwie, dopiero kiedy zaczyna się gra. Kiedy zaczyna się wyścig ze śmiercią.

- Na tym polega przecież moja rola.

Pan Bóg już chce zgasić świeczkę, a ja muszę szybko osłonić płomień, wykorzystując Jego chwilową nieuwagę. Niech się pali choć trochę dłużej, niż On by sobie życzył.

To jest ważne: On nie jest za bardzo sprawiedliwy. To jest również przyjemne, bo jeżeli się coś uda - to bądź co bądź Jego wywiódło się w pole...

- Wyścig z Panem Bogiem? Cóż to za pycha!

- Wiesz, kiedy człowiek odprowadza innych ludzi do wagonów, to może mieć z Nim później parę spraw do załatwienia. A wszyscy przechodzili koło mnie, bo stałem przy bramie od pierwszego do ostatniego dnia. Wszyscy, czterysta tysięcy ludzi przeszło koło mnie.

Oczywiście, każde życie kończy się i tak tym samym, ale chodzi o odroczenie wyroku, o osiem, dziesięć, piętnaście lat. To wcale nie jest mało. Kiedy córka Tenenbaumowej przeżyła dzięki numerkowi trzy miesiące - uważałem, że to dużo, bo przez te trzy miesiące zdążyła się dowiedzieć, czym jest miłość. A dziewczynki, które przeżyły na stenozę i na zastawki, zdążyły dorosnąć i kochać się, i urodzić dzieci, więc o ileż więcej zdążyły niż córka Tenenbaumowej.

Miałem taką dziewięcioletnią dziewczynkę, Urszulę, ze zwężeniem zastawki dwudzielnej płuc, odpływała różową, pienistą płwociną i dusiła się - ale wtedy nie operowaliśmy jeszcze dzieci. W ogóle dopiero zaczynano operować w Polsce wady serca, ale ona już umierała, więc zadzwoniłem do profesora, że mała zaraz się udusi. Przyleciał po dwóch godzinach samolotem i jeszcze tego samego dnia ją zoperował. Szybko się poprawiła, później wyszła ze szpitala, skończyła szkołę... Czasem przychodzi do nas, to z mężem, to rozwiedziona, ładna, wysoka, czarna - przedtem szpecił ją trochę zez, ale załatwiliśmy operację u bardzo dobrego okulisty i oczy już też ma w porządku.

Potem mieliśmy Teresę z wadą serca, obrzękłą jak beczułka, umierającą. Jak tylko zeszyły jej obrzęki, powiedziała: „Proszę wypisać mnie do domu”, a przez cały ten czas nikt z domu do niej nie przychodził. Poszedłem tam - był to pokój na zapleczu z betonową podłogą, mieszkała z chorą matką i dwiema młodszymi siostrami, powiedziała, że musi już iść, bo trzeba się tymi siostrami zająć - miała wtedy dziesięć lat - i poszła. Urodziła później dziecko, po porodzie znów trzeba było wyciągać ją z obrzęku płuc, ale jak tylko mogła oddychać, powiedziała, że musi już iść, dziecko dopilnować. Czasami do nas przychodzi i mówi, że ma wszystko, co chciała mieć, dom, dziecko, męża, a najważniejsze, mówi, że wyszła z tego pokoiku za sklepem.

Potem mieliśmy Grażynę z domu dziecka, której ojciec alkoholik zmarł w szpitalu dla psychicznie chorych, a matka na gruźlicę. Mówilem jej, że nie powinna rodzić, ale urodziła i wróciła do nas z niedomogą krążenia. Jest coraz słabsza, już nie może pracować, już nie może tego dziecka wziąć na ręce, ale chodzi z nim na spacer z wózkiem, dumna, że ma dziecko jak każda normalna kobieta. Mąż bardzo ją kocha i nie zgadza się na zabieg, a my nie mamy odwagi nalegać i Grażyna gaśnie tak powolutku.

Może źle ci opowiadam, ale już ich teraz nie pamiętam dokładnie. To dziwne. Kiedy są, kiedy jest z nimi źle, kiedy im trzeba pomóc - stają ci się najbliżsi na świecie i wiesz o nich wszystko. Wiesz, że mają kamienną podłogę, ojciec pije, a matka jest chora psychicznie, że w szkole są kłopoty z matematyką, a ten mąż wcale się dla niej nie nadaje, a na studiach jest właśnie sesja egzaminacyjna, więc trzeba wziąć taksówkę i posłać ją na ten egzamin razem z pielęgniarką i lekarstwami, wiesz także wszystko o jej sercu: że ma za wąskie ujście w zastawce albo za szerokie (jak za wąskie - to jest niedokrwienie, a jak za szerokie - to krew zalega i nie wypływa na obwód), patrzysz na nią i kiedy jest taka ładna, wąta, z różową cerą, to znaczy, że krew zalega na obwodzie i nastąpiło rozszerzenie drobnych naczyń podskórnych, a jak jest blada i tętnią jej naczynia na szyi, to ma za szerokie ujście aortalne... Wszystko o nich wiesz i są ci najbliżsi przez te parę dni śmiertelnego

¹ Polska organizacja podziemna działająca w latach 1942-1945, działająca jako organ rządu polskiego na uchodźstwie, której zadaniem było organizowanie pomocy dla Żydów w gettach.

² Umschlagplatz (niem. *plac zamiany*) miejsce związane z holokaustem w getcie warszawskim, z którego Niemcy deportowali Żydów do obozu zagłady w Treblince.

niebezpieczeństwa. Ale potem poprawiają się, wychodzą do domu, zapominasz ich twarze, przywożą kogoś nowego i już tylko ten ktoś jest najważniejszy.

Parę dni temu przywieźli siedemdziesięcioletnią staruszkę z niedomogą. Profesor zoperował ją, była to naprawdę ryzykowna operacja - w ostrej niedomodze krążenia. Zasypiając modliła się: "Panie Boże - mówiła - pobłogosław ręce pana profesora i myśli lekarzy z Pirogowa". ("Lekarze z Pirogowa" - to właśnie my, ja i Aga Żuchowska.)

No powiedz, komu, poza moją pacjentką - staruszką, przyszloby do głowy modlić się o moje myśli?

Kardiolog³

W tym samym czasie Profesor był chirurgiem w Radomiu, w szpitalu św. Kazimierza. (Profesor jest wysokim, szpakowatym, dystygowanym mężczyzną. Ma piękne ręce. Lubi muzykę, sam chętnie grywał na skrzypcach. Zna liczne języki obce. Jego pradziad był napoleońskim oficerem, a dziad powstańcem.)

Do tego szpitala codziennie przywożono jakiegoś rannego partyzanta.

Partyzanci mieli przeważnie przestrzelone brzuchy. Tych z postrzałem w głowę trudno było dowieźć do szpitala. Operował więc żołądki, śledziony, pęcherze i jelita grube, trzydzieści, czterdzieści brzuchów potrafił zoperować w ciągu dnia.

Latem czterdziestego czwartego zaczęto dowozić klatki piersiowe, bo powstał przyczółek w Warce. Dużo klatek dowożono, rozerwanych szrapnelem albo odłamkiem granatu, albo kawałkiem framugi białej pociskiem w pierś. Wylazły z nich płuca i serca, więc trzeba było je jakoś załatać i wepchnąć na miejsce.

A kiedy ruszyła ofensywa styczniowa na zachód - doszły jeszcze i głowy: wojsko miało transport i przywożono rannych na czas.

"Chirurg musi wciąż ćwiczyć palce - mówi Profesor. - Jak pianista. A ja miałem wczesną i bogatą praktykę".

Wojna jest doskonałą szkołą dla młodego chirurga: Profesor nabrał więc (dzięki partyzantom) kolosalnej wprawy w operowaniu brzucha, dzięki frontowi - w operowaniu głów, ale najważniejsza okazała się Warka.

Podczas wareskiego przyczółka Profesor zobaczył po raz pierwszy otwarte, bijące serce.

Przed wojną nikt nie widział, jak bije serce, nawet u zwierzęcia, a ktoś by męczył zwierzę, skoro to się i tak nigdy nie przyda medycynie. Dopiero w czterdziestym siódmym po raz pierwszy w Polsce otwarto chirurgicznie klatkę piersiową i zrobił to prof. Crafoord, przybyły specjalnie ze Sztokholmu, ale i on nie otworzył nawet osierdzia. Wszyscy patrzyli wtedy urzeczeni na worek osierdziowy, który poruszał się rytmicznie, jakby w nim było ukryte małe, żywe zwierzątko i tylko on jeden - nie profesor Crafoord wcale, tylko on wiedział dokładnie, jak wygląda to coś, co się w worku niespokojnie porusza. Tylko on bowiem, a nie światowej sławy szwedzki gość, wyciągał z chłopskich serc kawałki szmat, kul i okiennych framug, dzięki czemu zresztą już w pięć lat później, dwudziestego czerwca pięćdziesiątego drugiego roku, potrafił otworzyć serce niejakej Kwapisz Genowefy i zoperować jej stenozę mitralną.

Istnieje bliski i logiczny związek między sercami spod Warki a wszystkimi innymi, które operował potem, włączając w to, naturalnie, i serce pana Rudnego, majstra z dziedziny maszyn pasmanteryjnych, i serce pani Bubnerowej (której błogosławionej pamięci mąż udzielał się społecznie w gminie wyznania mojżeszowego i dzięki temu była całkiem spokojna przed operacją, a nawet uspokajała lekarzy: "Proszę się nie denerwować - mówiła im - mój mąż ma bardzo dobre stosunki z Panem Bogiem, już on tam na pewno wszystko załatwi jak potrzeba"), i serce pana Rzewuskiego, prezesa Automobilklubu, i wiele, wiele innych serc.

Rudnemu przeszczepiono żyłę z nogi do serca, żeby dać szerszą drogę krwi - w chwili gdy zaczynał się zawał. Rzewuskiemu przeszczepiono taką żyłę, gdy zawał już trwał. Pani Bubnerowej zmieniono kierunek biegu krwi w sercu...

Czy pan Profesor przed taką operacją się boi?

O, tak. Boi się bardzo. Czuje strach tutaj, o, tu, pośrodku.

I za każdym razem ma nadzieję, że w ostatniej chwili stanie się coś, co mu przeszkodzi: interniści zabronią, pacjent się rozmyśli, może nawet on sam ucieknie z gabinetu...

Czego się boi pan Profesor? Pana Boga? O, tak, Pana Boga boi się bardzo, ale nie najbardziej na świecie.

Że pacjent umrze?

Tego też, ale wie - wszyscy wiedzą - że bez operacji umrze i tak, to pewne.

Więc czego się boi?

Boi się, że koledzy powiedzą: On eksperymentuje na człowieku. A to jest najgorsze oskarżenie ze wszystkich, jakie mogą paść.

Lekarze mają swoją komórkę kontroli zawodowej i Profesor opowiada, że pewien chirurg potrafił kiedyś dziecko, zabrał je do samochodu, położył na swoim oddziale i wyleczył. Dzieciak jest zdrow, matka nie ma pretensji, tylko kontrola zawodowa uznała, że leczenie dziecka na własnym oddziale było sprzeczne z etyką, i udzieliła lekarzowi nagany. Nie mógł wykonywać zawodu i wkrótce zmarł na serce.

Profesor opowiada o tym ot tak. Właściwie bez związku. Ponieważ pytałem, czego lekarz się boi.

Z tą etyką wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane, niż ja sobie wyobrażam.

Na przykład: gdyby nie zoperował prezesa Rzewuskiego, to Rzewuski by zmarł. Nie stałoby się wtedy nic szczególnego: tylu ludzi umiera w zawałach... Każdy by to zrozumiał bez wyjaśnień.

Gdyby jednak Rzewuski zmarł po operacji - o, to już co innego. Ktoś mógłby wtedy zauważyć, że jednak na świecie takich zabiegów nikt nie robi. Ktoś inny zapytałby, czy Profesor nie jest zbyt lekkomyślny czasem, i to już mogłoby zabrzmieć jak uogólnienie...[...]

³ Jan Moll. W czasie wojny pracował jako chirurg w Radomiu, z narażeniem życia ratując m.in. żołnierzy AK. Po wojnie związany początkowo ze Szpitalem im. J. Strusia w Poznaniu, gdzie stworzył Oddział Chirurgii Torakalnej, a następnie od 1 czerwca 1958 roku ze Szpitalem Klinicznym im. dr. S. Sterlinga w Łodzi. W 1977 został dyrektorem Instytutu Kardiologii i kierownikiem Kliniki Kardiologii Akademii Medycznej w Łodzi. W 1953 roku skonstruował pierwszy polski aparat sztuczne płuco-serce do krążenia pozaustrojowego. W 1954 roku przeprowadził pierwsze w Polsce lewostronne cewnikowanie serca, pierwszy w Polsce założył pomosty aortalno-wieńcowe (tzw. by-passy); 4 stycznia 1969 roku dokonał pierwszego w Polsce przeszczepu serca (trzydzieści miesięcy po pierwszej na świecie transplantacji serca).